

Jelenia Góra na Jebel Toubkal

Pierwszego dnia wiosny 2022 roku Jelenia Góra symbolicznie stanęła na najwyższym szczycie Afryki północnej. Jebel Toubkal o wysokości 4167 metrów n.p.m. jest także najwyższym szczytem Maroka oraz Atlasu. Położony około 80 km na południe od Marrakeszu wznosi się w dolinie Mizan wchodzącej w skład Toubkal National Park.



Jebel Toubkal, najwyższy szczyt północnej Afryki – 4167 metrów n.p.m. Foto: Krzysztof Tęcza

Chętni do wejścia na ten szczyt przybywają tutaj w zasadzie przez cały rok. Największy tłok na szczycie to okres letni, kiedy nie ma tu już dużych ilości śniegu. Dlatego powszechnie utarło się przekonanie, że droga na szczyt nie jest zbyt trudna i nie wymaga specjalnych umiejętności technicznych. Nic bardziej mylnego. Właśnie takie przekonanie doprowadziło do wielu tragedii i niepowodzeń zrealizowania zamierzonego celu. W Atlasie Wysokim dominuje klimat podzwrotnikowy suchy. Nastromienie zboczy może nie jest zbyt eksponujące, jednak w okresie letnim sporym utrudnieniem jest zalegający rumoszcz skalny wymagający od idących zachowania dużej uwagi. Wszystko jednak zmienia się w okresie zimowym kiedy zalega tutaj śnieg. Często, tak jak i tym razem, występujące duże opady śniegu potrafią w ciągu zaledwie kilku godzin zniweczyć nasze plany. Zalegający śnieg zupełnie zmienia warunki podejścia na szczyt. Stromość zboczy staje się zbyt duża by można było ją lekceważyć, często wydeptana w zlodowaciałym śniegu ścieżka jest tak wąska, że nie ma mowy o postawieniu na niej obu stóp jednocześnie. Co prawda, przynajmniej na pierwszym odcinku podejścia nie ma niebezpieczeństwa spadnięcia do przepaści, w razie ześlizgnięcia zsuniemy się do 200 metrów w dół do doliny, którą idziemy. Niebezpieczeństwem są tutaj występujące duże głazy na które możemy wpaść pędząc po zlodowaciałym śniegu.

Wszystko zmienia się w górnej części podejścia, przed samym szczytem i bezpośrednio na nim. Tam każde potknięcie grozi wpadnięciem do widocznych przepaści. Na tym odcinku nie ma już żartów. Musimy wyteńczyć naszą uwagę na maksa.



Autor na tle szczytów Atlasu. Foto: Krzysztof Tęcza

Aby uzmysłowić wszystkim mającym zamiar wyruszenia na ten niesamowity szczyt wspomnę słowa zamieszczone przez Hamisha Browna w jego książce pt. „Jak zdobyć najpiękniejsze góry świata”:

...Ostrzeżenie! Ponieważ wiele przewodników książkowych opisuje Toubkal jako łatwe przedsięwzięcie wspinaczkowe, występuje tendencja do lekceważenia góry. Szczyt próbują atakować zespoły źle wyekwipowane, w złych warunkach pogodowych, bez przygotowania i dobrej aklimatyzacji. Upał, brak wody, wysokość czy zmiana warunków pogodowych mogą zmóc nawet ludzi przygotowanych. Toubkal powinien być traktowany z respektem, porównywalnym z alpejskimi szczytami... Lekceważenie szczytu oraz bez troskie podejście do wyprawy nań w efekcie mogą doprowadzić do przykrych konsekwencji.

Po moim wejściu na szczyt muszę w całości zgodzić się z przytoczonymi powyżej słowami. Nasza grupa, mimo iż na szczyt dotarła pierwszego dnia wiosny to w zasadzie wyprawę musiała odbyć jako zimową. Tym razem droga na szczyt nie byłaby możliwa do przejścia bez użycia raków. Złodowaciały śnieg nie pozostawiał wyboru. Także wysokość, a co za tym idzie, sptycony oddech, miał wpływ na tempo marszu i jego szybkość. Również ujemna temperatura i wiejący przy szczycie silny wiatr nie były sprzymierzeńcami w drodze na szczyt.

Wspomnę tutaj, że wykorzystywanie turystyczne szczytu to ledwie jedno stulecie. Pierwsze wejście miało miejsce w 1923 roku, pierwszy Polak zdobył szczyt w 1934 roku.



Trudna droga na szczyt. Foto: Krzysztof Tęcza

Jeśli chodzi o naszą grupę to liczyła ona 11 osób. Ponieważ wybrałem opcję wyprawy zorganizowanej mieliśmy polskojęzycznego opiekuna oraz przewodnika miejscowego, który był na Jebelu już ponad 300 razy. Wyprawę rozpoczęliśmy, tak jak wszyscy od przybycia do miejscowości Imlil, w której rozpoczęła się nasza aklimatyzacja. By przygotować nasz organizm do przebywania na coraz wyższej wysokości wyruszyliśmy na spacer zapoczątkowany na wysokości 1700 metrów n.p.m. Krętymi ścieżkami, pokonując setki schodów ułożonych z kamieni, podziwiając górskie krajobrazy wspięliśmy się 250 metrów wyżej docierając do pierwszego schroniska. To tutaj mieliśmy rozpocząć właściwą aklimatyzację. Na razie wszystko przebiegało zgodnie z założeniami. Nie doświadczyliśmy specjalnych problemów kondycyjnych ani zdrowotnych. Wszak większość z nas była już na wyższych wysokościach. Gospodarze dbali o nas wyjątkowo dobrze. Dostaliśmy bardzo obfitą i urozmaiconą kolację. Mogliśmy zobaczyć jak przygotowuje się tradycyjną herbatę. Dopiero w nocy okazało się, że jedynym źródłem ogrzewania tego obiektu jest kominek umieszczony na świetlicy. Gdy ogień zgasł powoli robiło się coraz chłodniej. Grube koce pozwoliły jakoś dotrzeć do rana.

Dzięki temu, że większość istniejących tu obiektów to budynki wielopiętrowe posadowione na zboczach poszczególnych wzniesień mają one mnóstwo schodów i zakamarków. Najlepszym jednak jest fakt, że wszystkie bez wyjątku, posiadają płaskie dachy wykorzystywane jako tarasy widokowe. I właśnie z tarasu schroniska po raz pierwszy zobaczyliśmy nasz szczyt. Lśnił bielą zalegającego na nim śniegu. Niestety z tej perspektywy, mimo iż najwyższy, wydawał się być najniższym z oglądanych wierzchołków. Nie mniej to właśnie on jest celem naszej wędrówki.

Tego dnia, po obfitym śniadaniu, wyruszamy na przejście aklimatyzacyjne. Jakież jest nasze zdziwienie gdy przed nami idzie kilka mułów. Okazuje się, że podążają one na górskie pastwiska, dokładnie drogą którą mamy iść także my. W zasadzie nie było żadnych niespodzianek. Każde przejście aklimatyzacyjne polega na pokonaniu kilku kilometrów i zaliczeniu jak największej ilości dolin i wzniesień. Jedyną różnicą tym razem była wizyta w jednym z domów, gdzie mieszkańcy poczęstowali nas herbatą i pokazali jak na co dzień wygląda życie w tych trudnych górskich warunkach. Oczywiście przez cały spacer towarzyszyły nam niezwykle widoki.



Schronisko „Pod Muflonem” 3200 metrów n.p.m. Foto: Krzysztof Tęcza

Następnego dnia ruszamy w stronę szczytu. Oczywiście idziemy „na lekko”, nasze główne bagaże niosą muły. Nigdzie się nie spieszymy, pokonujemy kolejne zakątki doliny prowadzącej pod szczyt. Mijamy jedną z bardziej znanych w Maroku świątyń, w której składane są ofiary w intencji ozdrowienia osób dotkniętych chorobami psychicznymi. Wykorzystujemy nieliczne miejsca, w których można napić się świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy i po obiedzie podanym na łonie natury docieramy do granicy zalegania śniegu. Jesteśmy na wysokości około 3 tysięcy metrów. Zatem pokonaliśmy ponad kilometr przewyższenia. Dobrym znakiem wydaje się pojawienie na niebie zjawiska atmosferycznego zwanego „Halo”. Niebawem z za kolejnego załamania doliny wyłania się nasza baza. Jest to schronisko „Pod Muflonem”. Tak naprawdę znajdują się tutaj cztery kamienne obiekty oraz pole namiotowe. W lecie panuje tu duży ruch. Teraz, po niedawnych opadach śniegu nie ma zbyt wielu grup.

Ci, którzy skorzystali z miejscowej wypożyczalni przymierzyli i przetestowali raki. Pozostali nie musieli tego czynić chociaż z zaciekawieniem przyglądali się jak trzymają się one podłoża.

Przed nami ostatnia noc, choć tak naprawdę pobudkę wyznaczono na 4 rano. Warunki spartańskie, w kranie zimna woda, brak ogrzewania, śpimy w przyniesionych śpiworach, całkowicie ubrani, wykorzystując użyczone grube koce. Rano, po lekkim śniadaniu, ruszamy w góry. Oczywiście wszyscy zakładają raki bez których, jak szybko się okazało, nie dalibyśmy rady nie tylko wejść na szczyt, ale w ogóle daleko zajść.



Wschód słońca w drodze na szczyt. Foto: Krzysztof Tęcza

Trawersujemy kolejne zbocza idąc niezliczonymi serpentynami. Niestety krótkie postoje szybko powodują wychłodzenie organizmu. Staramy się ograniczać je do minimum. Temperatura spadła do kilkunastu stopni, oczywiście w minusie. Wiatr też nie pomaga. Mimo założenia bielizny termo aktywnej, dwóch bluz i kurtki puchowej, gdy tylko przestajemy się piąć pod górę przenika nas niesamowity chłód. Zmienia się to dopiero gdy wstaje słońce. Od tej pory robi się cieplej. Jego promienie i złote światło padające na sąsiednie szczyty wywołują w nas świeżą energię. Jednym słowem zyskaliśmy nowe siły. Oczywiście nasz przewodnik zaraz zwraca nam uwagę byśmy zachowali ostrożność bo takie rozprężenie nie jest dobre dla poprawy naszego bezpieczeństwa. W końcu docieramy do ostatniego wypłaszczenia, miejsca w którym ustawiono znak ostrzegający przed „latającymi turystami”. Dalsza droga to już nie przelewki. Musimy obejść główny szczyt uważając na przepaści, na załęgające kamienie przykryte zlodowaciałym śniegiem, na bardzo wąską ścieżkę, no i na schodzących z góry turystów, z którymi w tych trudnych warunkach musimy się jakoś minąć. A trzeba brać pod uwagę to, że my widząc już cel naszej wędrówki zaczynamy być mniej uważnymi a schodzący z góry są zbyt rozluźnieni i podekscytowani tym, że już byli na szczycie. Muszę przyznać, że ten ostatni etap podejścia przypomina mi troszeczkę końcówkę podejścia na Rysy od strony słowackiej.



Widok ze szczytu. Foto: Krzysztof Tęcza

W końcu jesteśmy na szczycie. To 4167 metrów nad poziomem morza. Stoimy przy charakterystycznej konstrukcji wystawionej na samym wierzchołku Jebela. Dopiero teraz widzimy jak wysoko dotarliśmy. Wokół widzimy jeszcze kilka szczytów mających ponad 4 tysiące metrów. Są one jednak nieco niższe. Wszędzie jak okiem sięgnąć widać albo białe wierzchołki sąsiednich szczytów albo głębokie doliny wypełnione białymi gęstymi chmurami udającymi falujące morze. Coś niesamowitego. Czekamy chwilę by na szczyt dotarli ostatni uczestnicy naszej ekipy. Nie ma co ukrywać, nasza grupa trochę się rozciągnęła, w końcu warunki terenowe, śnieg, wysokość, zrobiły swoje.

Teraz pamiątkowe zdjęcia i ruszamy na dół. Tak jak zapowiadano pogoda zaczyna się psuć. Pojawiają się pierwsze płatki spadającego z nieba śniegu, wzrasta się wiatr. Oczywiście na dół idzie się nieco szybciej. Wejście na górę zajęło nam 4 godziny, zejście tylko 3. Jednak ostatnie metry, gdy już widzieliśmy nasze schronisko, wcale nie należały do łatwych. Wszystkim dały się już we znaki trudy nocnej wspinaczki i sporego tempa zejścia na dół. Nogi powoli odmawiały posłuszeństwa. Trzeba było wzmocnić czujność by nie doszło do jakiegoś wypadku.

Myślę, że po trudzie jaki był naszym udziałem tego dnia wszystkim smakował obiad przygotowany przez naszego kucharza. Do tego gorąca herbata. Od razu uprzedzam dociekliwych – nie było żadnego alkoholu, nawet piwa. Po pierwsze to są góry, po drugie, w Maroku poza nielicznymi marketami nigdzie nie kupi się takich napojów. Nam wystarczyło kilka szklanek miejscowej herbaty, do której dodaje się stosowne przyprawy.

Ponieważ na szczyt weszliśmy wszyscy nie było potrzeby spędzania na tej wysokości kolejnej nocy by zwyczajowo dać jutro drugą szansę na stanięcie na szczycie. Dlatego zaraz po posiłku ruszyliśmy w dalszą drogę do schroniska znajdującego się poniżej 2 tysięcy metrów. Oczywiście zbędne rzeczy ponownie „nadaliśmy na bagaż” czyli przekazaliśmy opiekunom mułów, które zniosły je nam do naszej bazy.

Gdy wreszcie dotarliśmy do Imlil okazało się, że tego dnia pokonaliśmy ponad 20 km i ponad 3 tysiące różnicy wzniesień. Świętowanie wyglądało różnie. Część ekipy skorzystała z miejscowej łaźni by doprowadzić się do porządku i rozgrzać zmarznięte ciało, część po prostu położyła się spać. Wszyscy jednak spotkaliśmy się na wspólnej kolacji, podczas której mogliśmy podzielić się swoimi wrażeniami.

Ranek całkowicie nas zaskoczył. Okazało się, że śnieg zasypał nie tylko szczyty ale także dolinę poniżej naszego schroniska. Wygląda na to, że mieliśmy szczęście, iż weszliśmy na szczyt wczoraj. Dzisiaj już nie dalibyśmy rady.



Wodospady Ouzoud. Foto: Krzysztof Tęcza

Aby ochłoniąć po trudach górskiej wyprawy następnego dnia wybraliśmy się na wodospady Ouzoud. To tam można się wykąpać pod spadającymi ze 110 metrów strugami wody. Oczywiście nie dosłownie, to zbyt niebezpieczne. Niestety tym razem pogoda spłatała nam figła, zrobiło się tak zimno, że zamiast kąpeli założyliśmy puchowe kurtki. Chociaż znaleźli się śmiałkowie chcący dopełnić tradycji.

I tak oto nasza wyprawa dobiegła końca. Cała grupa licząca 11 osób stanęła na szczycie najwyższej góry Afryki północnej. Każdy chciał jakoś zaznaczyć swój pobyt na nim w sposób wyjątkowy. Ja, ze swej strony, ubrałem przywiezioną z sobą koszulkę z logo mojego miasta Jeleniej Góry. W ten sposób stanąłem na Jebel Toubkal, na wysokości 4167 metrów n.p.m. wraz z częścią mojej Małej Ojczyzny.

Krzysztof Tęcza